Rocznik III. Kraków, 10 kwietnia 1898. Nr. 7.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Redaktor Kazimierz Bartoszewicz.

Przegląd wychodzi dwa razy na miesiąc.

Listy, artykuły, książki, należy przesyłać pod adresem Redakcyi.

Przedpłata wynosi: w Krakowie rocznie 6 złr. w. a. — półrocznie 3 złr. — z przesyłką pocztową rocznie 6 złr. 80 ct. — półrocznie 3 złr. 40 ct.
Za granicą: rocznie 16 franków, 12 marek, 6 rubli, z przesyłką 7 rs.
Cena numeru 50 ct. w. a.

Ogłoszenia po cenie 10 ct. za wiersz petitowy, za całą stronicę 20 złr. przyjmuje Administracya.

W Poznaniu skład główny w księgarni J. Leitgebra, w Petersburgu w księgarni K. Grendyszyńskiego.

Adres Redakcyi: ulica Floryjańska l. 41. — Administracya: w księgarni G. Gebethnera i Spółki.

Spór o piękno.

Jeden z naszych najmłodszych literatów umieścił niedawno w *Słowie Polskiem* artykuł wysławiający, jako twórcę nowej epoki literackiej, Gabryela d'Annunzio, niepospolitego mistrza słowa, ale zarazem jednego z najzapaleńszych czcicieli zmysłowości, jakich świat widział.

Artykuł ów widocznie został wydrukowany bez wiedzy naczelnego kierownika pisma, który też wnet potem odpowiedział nań w artykule wstępnym p. t. „Dezinfekcya prądów europejskich," w którym powstał nietylko przeciw d'Annunzio i jego polskiemu wielbicielowi, ale przeciw rozmaitym współczesnym kierunkom literackim, noszącym rozmaite nazwy, powiązanym jednak wspólnością kultu ciała, albo używając wyrażenia ulubionego przez zwolenników owych kierunków — wspólnością dążeń do ujęcia i odtworzenia „nagiej duszy."

Rzecz swoją skreślił p. Stanisław Szczepanowski jednym tchem, z porywającym zapałem. W sądzie o sztuce stanął na najwynioślejszem stanowisku, twierdząc, że wielkie myśli, a zatem i wielka sztuka, rodzić się mogą tylko w wielkich duszach. „U wszystkich wielkich apostołów światła — pisał — ostatecznym celem usiłowań, busolą ich duszy była nie bańka mydlana piękna estetycznego, błyszcząca zewnątrz, a wewnątrz próżna i pryskająca za każdem zetknięciem się z rzeczywistością, ale czyn bohaterski, bo każdy z nich gardził efektem, a pragnął świat przetworzyć na podobieństwo swej szlachetnej duszy." Wychodząc z takiego założenia, rzucał autor rękawicę tym wszystkim z pomiędzy młodych literatów, którzy składając hołd Gabryelowi d'Annunzio i podobnym do niego, zdają się przyznawać, że źródłem ich natchnień i celem dążeń nie jest „odbudowanie ojczyzny," lecz tylko „mydlana bańka piękna estetycznego."

Nie dziw przeto, że zawrzało wśród garstki dotkniętej pociskami energicznego publicysty. Redaktor pisma, uchodzącego za organ najmłodszych, p. Ludwik Szczepański odpowiedział p. Szczepanowskiemu w dwóch numerach *Życia*. Ze względów polemicznych, aby zapewnić sobie tem łatwiejsze zwycięztwo, udał p. Szczepański, że nie zrozumiał zasadniczej myśli swego przeciwnika, natomiast podkreśliwszy i potępiwszy w nim szczegół drugorzędny, t. j. namiętne i nie przebierające w środkach smaganie niektórych koryfeuszów literatury zachodniej, a przedewszystkiem Emila Zoli, jął długo i szeroko polemizować z włożonem przez się w usta p. Szczepanowskiego twierdzeniem, że jakoby sztuka powinna być narodową, czyli kierować się li tylko patryotycznym utylitaryzmem. Umieszczony na naczelnem miejscu pisma, artykuł ten utrzymany był w tonie przyzwoitym, za to z suterenów dały się słyszeć wrzaskliwe odgłosy oburzenia. W dziale kroniki bieżącej wygłoszono przypuszczenie, że któreś z wyrzeczeń swoich wziął p. Szczepanowski z *Petit Journal*, „jednego z najobrzydliwszych, dla motłochu wyłącznie przeznaczonych świstków," w następnym numerze w tymże dziale porównano tegoż autora z Tartarin Tarasconem, z którym nikt na seryo liczyć się nie będzie; wreszcie niejaki „Szyldkret" parodyjąc z wielką brawurą w wierszu „Patryota" (Nr. 12) patryotyzm p. Szczepanowskiego, nie zawahał się przytem w cynicznych zwrotach wyszydzić samo uczucie patryotyczne i przeszłość ojczystą, „gdy nas naprzód tłukły Szwedy, potem Niemcy i Moskale."

W tym względzie stanowczo przekroczyło *Życie* te granice, które nakłada takt moralny. Zgadzam się z przeciwnikami artykułu o dezynfekcyi, że autor jego odsądzając od czci i wiary Zolę i innych pisarzy, zapędził się znacznie dalej, niżby wypadało. Uważam kierunek Zoli za zły, nie widzę jednak dotąd powodu od-

mówienia samemu Zoli dobrej wiary, człowiek zaś szczery, choćby działał w mniemaniu naszem najfałszywiej i najzgubniej, nie przestaje być godzien szacunku. Przypuszczam też, że ostre słowa wyrwały się p. Szczepanowskiemu raczej pod wpływem gorączki polemicznej, niż głębszej rozwagi, ale co się tyczy zarzuconego mu utylitaryzmu, czyniącego sztukę najemnicą jakichś patryotyczno-politycznych teoryj czy kombinacyj, to przekonany jestem, opierając się na wywodach autora, że nic podobnego nie śniło się jemu. Walka między *Słowem Polskiem* a *Życiem* nie jest sporem estetyki z polityką, lecz jedną z postaci bardzo starego sporu między dwoma poglądami na piękno i sztukę—i w tym wypadku staję stanowczo po stronie *Słowa Polskiego*.

Platon widział w pięknie odblask doskonałości — tej co świeci w niedościgłym idealnym świecie wzorów. Takie dając określenie grecki mędrzec miał na myśli nietylko piękno sztuki, lecz piękno w najszerszem znaczeniu wyrazu, piękno czynów, piękno dusz ludzkich— słowem to piękno, które wypływem jest i wyrazem dążenia duszy do doskonałego i szczęśliwego bytu — do Boga, który bytu owego jest źródłem i celem. Zostało coś z tego poglądu w teoryach estetycznych, pod wpływem których wychowaliśmy się, ale zostało w nadwerężonej jakiejś postaci — okrojone i skaleczone. Panteistyczny idealizm niemiecki wyrzuciwszy Boga ze świata i na Jego miejscu postawiwszy oderwany absolut, jakąś martwą ideę, rozwijającą się w świecie i razem z nim, określił piękno, jako odblask, nie Boga, lecz idei w formie, czyli to, co w formie najlepiej jej ideę wyraża — i zgodnie z tem uznał, jako cel sztuki, harmonię idei i formy. Ponieważ zaś tej harmonii w świecie, który jest ciągłem rozwijaniem się idei, ciągłem dążeniem do odpowiedniejszych form, niema i być nie może, więc sztuka poprawia naturę, jest wyższą od rzeczywistości, może nią gardzić; sztuka, wreszcie, według poglądu najskrajniejszych idealistów, istnieje tylko dla sztuki.

Przeciwko temu bardzo racyonalnie powstał materyalizm. Dążąc do prostoty i jasności, wyrzucił on ze świata myśli martwą i do niczego niepotrzebną ideę niemieckich filozofów, której wyrazem miał być świat— uprościł też estetykę, wygłaszając przez usta jednego z najzapaleńszych adeptów swoich, że „piękno to życie— życie takie, jakiem ono powinno być według naszych zapatrywań, wreszcie każde życie, bo lepiej żyć niż nie żyć.“ Z takiem określeniem wpadał materyalizm w ostateczność przeciwległą tej, w której tonęła panteistyczna metafizyka niemiecka twierdząca, że sztuka jest wyższą od natury. Życie bowiem w objawach swoich niezawodnie rozmaitsze i bogatsze było niż sztuka, a więc wyższe od niej, sztuka przeto przeistaczała się w pojęciu krańcowych materyalistów*) w surrogat natury: obraz morza tę tylko dla nich miał wartość, że zapoznawał z morzem tych, co morza nigdy nie widzieli, a przypominał je tym, którzy go nie pamiętali.

Obydwa te krańcowe poglądy estetyczne były w rozterce z rzeczywistością, a mianowicie z dążącym do doskonałości umysłem ludzkim. Wszak robak, chociażby najlepiej odpowiadał idei robaka, nie zadowoli upodobań wyznawcy panteistycznego idealizmu, a życie tego robaka, chociażby rozwinęło się najbujniej, nie da materyaliście wzruszenia estetycznego. Dla czegoż więc nietylko robak, ale wszystko, co czołga się, przejmuje nas dreszczem mimowolnego wstrętu, gdy przeciwnie wszystko, co w górę się wznosi, jest wypoczynkiem i radością dla wzroku i duszy. Dlaczego orzeł szybujący nad szczytami gór po błękitnych przestrzeniach, pociągał i zawsze pociągać będzie każdą wyobraźnię poetyczną? Nie zdołamy tego wytłómaczyć inaczej, jak z pomocą asocyacyi pojęć: orzeł obrazem jest zrośniętej z duszą naszą tęsknoty do bezgranicznych widnokręgów i bezgranicznej swobody, do wyrwania się w nieskończoną i promienną dal, po za znikomość rzeczy, po za kresy, które żądzom ducha stawia materya — i dlatego właśnie unikamy widoku robaka, bo czujemy w nim symbol upadku i niemocy ducha grzęznącego w materyi. Nie tak dawno jeden z najoryginalniejszych myślicieli wieku dzielił nietylko dusze ludzkie, ale i teorye filozoficzne na czołgające się i skrzydlate...

Z tem zestawieniem płaza i ptaka wracamy do Platońskiego określenia piękna, jako odblasku doskonałości. Nieskończoną jest doskonałość, piękno przeto i nieskończoność związane są ze sobą węzłem najściślejszym—i z tęsknoty do nieskończoności, stanowiącej najszlachetniejszy pierwiastek ducha, wypływa tak sztuka jak religia. Czy źródło czaru, którym John Ruskin przykuł ku sobie współczesne umysły angielskie, wyciskając piętno swej indywidualności na ich życiu duchowem z rzadką w dziejach siłą, nie tkwi właśnie w tej potędze przekonania i tym ogniu ducha, którym zapalił przestworza myśli, nauczając tyle lat i z takim wieszczym zapałem o jedności idei piękna i idei Boga? Byłem nieraz świadkiem tego czarodziejskiego uroku, jaki na naszych najmłodszych literatach i artystach wywiera wyraz „modernizm.“ Ale Ruskin, o którym majaczy Anglia, otaczając go czcią prawie bałwochwalczą, którego studyują Niemcy i Francuzi*) jest niezaprzeczenie bardzo „modern,“ czemuż więc wzroku swego w jego stronę nie zwrócą nasi młodzi czciciele Ibsena i Maeterlincka, Verlaine'a i d'Annunzio? Czemu w swej pogoni za modernizmem patrzą tylko tam, gdzie jest kult zmysłowego życia i „nagiej“ (t. j. kontemplacyi zmysłowości oddanej) duszy?

*) Np. w pojęciu Czernyszewskiego, który ogłosiwszy w r. 1855 dzieło o stosunku sztuki do rzeczywistości, stał się na długie lata prawodawcą krytyki rosyjskiej.

*) Poglądy Ruskin'a doskonale streścił Sizeranne w *Réligion de la beauté*.

Jednym więc z głównych czynników twórczości artystycznej jest żądza nieskończoności, — żądza Boga, jak wyrazi to krócej i jaśniej każdy wierzący chrześcianin. W miarę jej odczuwania szlachetnieje, oczyszcza się i rośnie dusza artysty i czarem swoim napełnia swe twory i ujarzmia nim serca słuchaczów czy widzów. Krytycy tego kierunku, co przeciwnicy pana Szczepanowskiego, zwykli sądzić o wartości dzieła sztuki według jego treści i formy: treść powinna być zgodną z prawdą, forma — zastosowaną do treści. Oczywiście, niepodobna z tem się nie zgodzić, ale zapomnieli oni o trzecim warunku, a tym jest dusza artysty, światłem własnem oświetlająca swą pracę: może ona na skrzydłach ulatać w nieskończoność i kusić się o zdobycie krajów nieśmiertelnej młodości, może też czołgać się po błocie poziomych namiętności, może pociągać nas i może odstręczać. W dziele artysty szukamy, często sprawy sobie z tego nie zdając, jego duszy, bo życie jest szukaniem dusz, którebyśmy kochać i czcić mogli. Nieraz ulatniają się nam z pamięci wszystkie szczegóły dzieła, ale żywem pozostaje to błogie wrażenie, które ono wywarło, jak gdybyśmy czuli na sobie czyste tchnienie jego twórcy. Nie tak dawno czytałem rzecz Gabryela Sarrazin *Le roi de la mer*, coś między powieścią a poematem, treści jużbym nie potrafił dokładnie opowiedzieć, ale myśl o tym utworze skojarzyła się we mnie z tęsknotą do szerokich oceanowych przestrzeni, do ich rzeźwiących powiewów i do radosnej energii, którą one w nasze piersi niosą, poznać chciałbym autora i obcować z nim tak młodzieńczo rozkochanym w nieskończonym błękicie nieba, i we wszystkiem, co tego błękitu jest odbiciem w życiu. Mniej więcej w tym samym czasie czytałem rozprawkę St. Przybyszewskiego *Auf den Wegen der Seele*. Jedyna to ze znaczniejszych znana mi dotąd rzecz tego autora, rzecz skreślona z talentem potężnym, ale ciężkiem było dla mnie to uczucie natarczywie trapiącej zmory, którą we mnie zostawiła; sporo czasu minęło, nim nagromadzone tam myśli i obrazy wywietrzały mi z wyobraźni. Mam teraz przed sobą na półce kilka tomów powieści tegoż Przybyszewskiego, a nie mam odwagi zabrać się do ich czytania, w tak wstrętnej, rozpaczliwie wstrętnej postaci okazał mi się kierunek tego badacza „nagiej“ duszy, to delirium zrobaczonej zmysłowości, w której pogrążyły się jego robacze żądze, ślepe na błękit i słońce, nie zdolne gonić za pędzącymi tam orłami.

Teraz jesteśmy tu w Krakowie pod wstrząsającem wrażeniem sztuki skreślonej przez świetne pióro. Forma przepyszna, treść oryginalna, jedyna w swoim rodzaju, intuicya w rozumieniu duszy obcego nam społeczeństwa zdumiewająca, w literaturze naszej nie było ono dotąd ani razu (przynajmniej niektóre jego warstwy) tak głęboko zbadane i tak wyraźnie odtworzone, — a jednak opuszczamy teatr z uczuciem przygnębiającem, z poszarpanymi nerwami. Zdaje się nam — że jakaś ciemna, złowroga, a niezwyciężona moc pastwi się i bezkarnie pastwić się będzie nad bezsilnem ptaszęciem. Znakomitemu realiście zabrakło zdolności i siły do należytego odczucia i uwydatnienia charakterów idealnych. Mimo woli w ciągu przedstawienia budzi w nas współczucie podły denuncyant, zmuszony zbiegiem okoliczności odebrać sobie życie, z chłodem zaś spoglądamy na właściwą bohaterkę sztuki, chłodną fanatyczkę idei, świadomie idącą na długie męczeństwo. To samo mamy tu tło, co w III. cz. „Dziadów“, tylko nie unosi się nad tem tłem wielka, bohaterska dusza tego, który „czuł za miliony“*)

Przed wielu laty czytając „Hiszpanią“ sympatycznego entuzyasty Admunda de Amicis uderzony byłem i wzruszony jednem jego powiedzeniem: mianowicie zachwyty swoje nad obrazami Murilla kończył on tęsknotą do poznania ich twórcy — ale opuścił on świat, nie ujrzymy go tu, jednak chce się wierzyć, że kiedyś obcowanie z tym duchem czystym będzie nagrodą za dobre i czyste życie tu na ziemi. — To samo, oczywiście we wręcz odmiennej formie, wypowiedział w przedmowie do rosyjskiego przekładu utworów Maupassant'a największy z realistów współczesnych — Lew Tołstoj: „Cementem wiążącym w jedną całość poszczególne części dzieła sztuki i dającym złudzenie odźwierciedlenia życia nie jest jedność osób lub sytuacyj, lecz jedność samoistnego etycznego stosunku autora do swego przedmiotu. W istocie rzeczy, gdy czytamy lub oglądamy utwór artystyczny nowego twórcy, zasadnicze pytanie powstające w głębi naszej duszy jest zawsze to samo: Ej, coś ty za jeden? I czem się różnisz od innych ludzi, których znam i co nowego możesz mi powiedzieć o tem jak mam patrzeć na życie? — Słowem, bez względu na to, co przedstawia artysta — świętych czy zbójców, królów czy lokai — zawsze i wszędzie przedewszystkiem szukamy jego duszy“.

Tę ogromną wagę duszy artysty, jako zasadniczego czynnika wrażenia estetycznego czuli mistrzowie naszej poezyi. Słowacki marzył o czystej jak lilia duszy Anhellego, która odkupi grzechy narodu, — „biada — wołał Krasiński — tym, przez których płyną strumienie piękności, a sami pięknością nie są“, — a „największy z czujących na ziemi“, Mickiewicz, nie zdołał w tym względzie swego wielkiego uczucia utrzymać w karbach rozwagi: wolał pożegnać się z twórczością, niż tworzyć, nie czując się dostatecznie godnym posłan-

*) W jednym z dzienników krakowskich we wzmiance o niniejszym odczycie powiedziano, że powstałem przeciw autorowi sztuki ze stanowiska „myśli obywatelskiej“. Tak jednak nie jest. Pomimo poważnego zarzutu, który stawiam sztuce pod względem odtworzenia strony słabszej, sądzę, że jako prawdziwy a pełny grozy obraz strony silniejszej, a fałszywie dotąd najczęściej u nas przedstawianej, ma ona dla nas znaczenie wielie. Pragnąłbym też bardzo, aby ujrzano ją na scenach europejskich.

nictwa wieszcza. Gdym pracując nad dziejami bajronizmu, począł czytać naszych drugorzędnych poetów z owego okresu, raziła mię zawsze na wstępie i nużyła chropowatość ich formy tak niezgrabna i niemowlęca wobec dzisiejszego jej wydoskonalenia, lecz w miarę wczytywania się coraz bardziej pociągały mię kryształowe głębie ich dusz, z żalem rozstawałem się z nimi, jak z przyjaciołmi, czując, że „przybytkiem ich natchnień była święta góra Syonu, bo chodzili w niewinności i czynili sprawiedliwość“ (B XV). Nie da się tego powiedzieć o naszej najnowszej i najmłodszej twórczości artystycznej. Wprawdzie jaskrawie nie zaznaczyła się dotąd, ani też miała czasu wydać talentów większych, to jednak widzimy, że wobec dwóch współczesnych modernizmów — wobec odrodzenia skrzydlatych tęsknień idealizmu religijnego, który w rozmaitych krajach rozmaicie się objawił, bo Tołstoja, Ruskina, Secretana, Ernesta Hello wiąże tylko wspólne religijne tło ich dusz — i wobec kultu zmysłowości czołgającej się po nizinach upodobań nagiej duszy, czyli wyzutej z podobieństwa Bożego — twórczość najmłodszych bardziej przechyla się w tę drugą stronę. Dlatego to z radością i zapałem witamy zapału pełne i równie głębokie jak prawdziwe następujące słowa p. Szczepanowskiego. Streszczają one całą myśl jego: „Nie szukali Grecy piękna, kiedy gromili Persów i bronili niepodległości swej ojczyzny. Ale dopóki trwał bohaterski nastrój, to, niechcący, wszystkie płody ich ducha przyoblekały szatę nieśmiertelnej piękności. Piękno jak szczęście tylko tym przychodzą niechcące, jako konieczna forma szlachetnej treści, którzy ich nie szukając, naturę ludzką do wyższego stopnia doskonałości dźwignęli. Szukaj bohaterstwa i doskonałości, a będziesz miał piękno i szczęście. Pogoń zaś za szczęściem to najpewniejsza droga do pessymizmu, pogoń za pięknością — do pozy teatralnej i blichtru scenicznego“.

Więc cnota, bohaterstwo, ojczyzna, wiara — słowem doskonałość, ideał moralny przedewszystkiem, a dopiero potem piękno artystyczne, jako nagroda pracy nad urzeczywistnieniem ideału moralnego — oto hasło tych, którzy zajmują stanowisko autora artykułu o dezynfekcyi w poglądzie na stosunek sztuki do życia: dobro *plus* piękno. Odwrotnie powiedziałbym, że przeciwnikom jego przyświeca piękno artystyczne: *minus* dobro: wszechstronna ciekawość tkwi w istocie ich dążeń; żądza wiedzy zasłoniwszy, gorzej nawet, zepchnąwszy na plan drugi żądzę dobra, zrodziła smakoszostwo, ustawiczną pogoń za nowością — dyletantyzm i dekadentyzm — bardzo zaś charakterystyczne do zrozumienia ich stanu wewnętrznego jest to, że są między nimi, zapewne najmłodsi i najskrajniejsi, ale spotykałem takich, którzy rozkoszują się samą nazwą dekadentów, t. j. upadłych, czyli zwyrodniałych, nie rozumiejąc, że tem samem kładą piętno niemocy na własnych czołach, biorą robaka jako znak herbowny.

Swieższym, zdrowszym, szerszym, czystszym a zatem i piękniejszym jest pogląd pierwszy. Szumnie dziś głosi o sobie młoda Polska; nie wiemy, co ona wyda, pomimo jednak niektórych niepokojących objawów nie mamy dotąd powodu tracić nadziei, że przemogą pierwiastki skrzydlate i że do przedstawicieli przyszłej literatury naszej nie dadzą się zastosować słowa Krasińskiego, iż przybrali zwodnicze postaci aniołów, ale „zagrzęźli w błocie i jak płazy poszli czołgać się i dusić się mułem“.

M. Zdziechowski.

Józefa Weyssenhoffa:

»Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego.«

(Ciąg dalszy.)

Mówił znowu ktoś na cześć jubilata:

...„W tej powieści i w tym dramacie pokazał się prawdziwym artystą. Pod wpływem silnego wrażenia zadumał się nad sensem życia, którem żył, powietrza, którem oddychał, ludzi, których znał — i, samoistnie zauważywszy proste i znaczące słowa, obrazy, sceny, — dał nam je od siebie, nie od kogo, bez zabarwień cudzych, bez francuskich sosów, bez mgieł skandynawskich. Stworzył dzieło trwałe, bo z nas i z siebie samego wysnute...“

— Kto to mówi? — zapytał Podfilipski.

— To jeden młody profesor literatury na uniwersytecie w Bonn, polak — odpowiedziano mu.

Pan Zygmunt zamyślił się. Słowa młodego mówcy, które przypadkiem wpadły jakby argument w naszą rozmowę, zastanowiły go. Jego giętki umysł lubił czasem sam ze sobą dysputować w milczeniu.

Posłyszeliśmy teraz mowę nieurzędową, którą sąsiad pana Zygmunta z lewej strony wygłosił specyalnie dla naszego kąta.

Umiał on znakomicie naśladować typy i opowiadać. Ruchliwą twarz, starannie uczesaną brodę i włosy ułożył w jednej chwili do niepoznania. Roztargał się, zasępił uroczyście i, czyniąc niby ruch powstania z krzesła, ujął kieliszek, wlepił wzrok w żółty płyn i półgłosem tak prawił dla nas:

— Po tylu i takich, że tak powiem, fenomenalnych głosach mych starszych... kolegów (tu kiwnął się komicznie na krześle) słaby mój organ nie dorówna wielkim trąbom sławy, brzmiącym w tym przybytku na cześć równie głośnego instrumentu jubilata, ani się moje ziarenko miry przyczyni do wielkich kadzielnic wonności (tu kichnął). Słuchając śpiewu kapłanów, olśniony tryumfalnością owacyi, stoję w przedsionku i jako celnik, bijąc się w piersi, mówię: Boże, bądź miłościw...

Mówił cicho, monotonnie, z małemi wybuchami głosu.

— Brawo! — zaśmiał się Podfilipski — dalej, dalej — słuchamy cię ze współczuciem.

Tamten rozweselony powodzeniem i winem, które popijał często, mówił w dalszym ciągu:

— Nie jako dramaturg — Panie, nie jestem godzien! — nie jako powieściopisarz — Panie, zmiłuj się nad nami! — nie jako krytyk — już grzeszyć przestałem, ale jako człowiek, siedzący w drugim rzędzie krzeseł teatralnych, na uboczu prawem, jako czytelnik cierpiący i małej wiary, śmiem drobną moją fletnię wmieszać w waszą orkiestrę. Niby brzęk osy w chórze mamutów, opiewających zasługi ichtyosaura. A ichtyosaurem ty jesteś, czcigodny jubilacie, pośredni między największą z ryb pływających po wodach literackich i najznakomitszy z pomiędzy ssących temata swe z przedpotopowych pierwowzorów!

— Jesteś zupełnie natchniony — wtrącił Podfilipski.

— At, mówi pan i tyle tylko, że mówi...

Spojrzeliśmy wszyscy na miejsce, z którego głos pochodził. Siedział tam ów kościsty litwin, zwijając ciągle brodę w ręku, zaczerwieniony nieco na wypukłych policzkach.

Mówca wstał z komiczną powagą i rzekł:

— Pozwoli pan, że mu się przedstawię. Jestem Delicki.

Litwin oparł obie pięści na stole i uniósł się trochę z siedzenia:

— Kołczanowicz.

— Daruje pan — rzekł Delicki — nie liczyłem na szersze audytoryum. Improwizowałem dla przyjaciół.

— Jaż nie przeszkadzam. Przyszedłem tu żeby słuchać i, posłyszawszy, odezwałem się.

Ale komicyna oracza została przerwana, i wesołość ateńskiego kąta na chwilę przygasła.

Tymczasem gwar rósł ciągle. Nie pilnowano już miejsc, zaczęto krążyć po sali, napełnionej dymem tytoniu. Potworzyły się zbite kupki ludzi; poczęto mówić coraz głośniej i szczerzej. Nasza grupa nie rozeszła się, i zapomnieliśmy o Kołczanowiczu.

Pan Zygmunt opowiadał teraz o ciekawych zebraniach w pewnym literackim salonie w Paryżu. Wyliczył kilkanaście nazwisk dekadentów i neo-chrześcian i piosenkarzy z Montmartres.

— Jakie to wszystko żywe, oryginalne, współczesne! Jaki humor i łatwa oryentacya w najnowszych objawach życia, w ostatnich potrzebach duchowych! To mi zebranie literatów, gdzie ciągle słyszysz rzeczy niespodziewane, masz wytworność, dowcip, zupełny brak przesądów i szkolnych tradycyi. Pamiętasz te nasze wieczory, Delicki?

— Jakżebym o nich miał zapomnieć! Tam się żyło. U nas zaś co innego. Niema wprawdzie ani talentu, ani dowcipu, ani nowożytności, — ale jest szkoła. Dość spojrzeć na to zwarte grono, między które zamieszani jesteśmy, jako wolni słuchacze. Tak są wyszkoleni, że, nim który zacznie mówić, już drudzy wiedzą z góry, co powie, i przygotowani są na odpowiedź. Jest do użytku literatów kilkanaście karabinów i parę grubych dział — i są tarcze, do których się strzela. Skoro trafisz w serca — co nie trudno — wyskakuje z tarczy jakaś formułka lub zasada, jak pajac w strzelnicy, i zaczyna bębnić. To jest bardzo dowcipnie urządzone. Ja, którym się tego wszystkiego, co oni mówią i piszą, dawno już nauczył, podyktowałbym przed kolacyą wszystkie mowy i byłyby takie, jak je tutaj słyszymy. O — ten naprzykład, co tam siedzi i ma jeszcze mowę na sercu, jeszcze jej z siebie nie wydał, — strzeli zaraz z najgrubszego działa, powie coś o wspólności naszych ideałów i mrugnie na nas, czem sobie zyska ogólne uznanie, to samo, które zyskuje od pięćdziesięciu lat za te same frazesy. Patrzcie — zaczyna mu się pocić łysina. Zaraz wyskoczy z niej Minerwa.

— Powiedz pan sam co nowego, kiedy już tak wszyscy nie mogą — mruknął Kołczanowicz.

— Zdaje mi się, że mowię rzeczy względnie nowe.

— Da stare, panie, jak świat stare. Pan jesteś niezadowolony.

Delicki odpowiedział sucho:

— Rzeczywiście, że nie zupełnie zadowolony.

Nie mogąc się odwrócić tyłem do Kołczanowicza, bo siedział naprzeciwko, odwrócił się do niego bokiem, mówiąc odtąd wyłącznie do Podfilipskiego.

A pan Zygmunt zebrał teraz rozmowę w garść i prawił:

— Ja wam powiem, moi drodzy — trzeba trochę pobłażliwości dla naszej literatury i literatów. Jak pod każdym względem, tak i tutaj, nie jesteśmy na wysokości Europy.

Rzucił jasnem okiem po sali.

— Oprócz nas tu kilku, przypadkiem razem siedzących, weźmy naprzykład tę salę, w której są prawie wszyscy, którzy piszą u nas. Nie wątpię o zdolności i rozumie niektórych, ale wszyscy *pracują piórem* — tak się to u nas nazywa. Gdzie jest choć jeden, który *bawi się* pisaniem. Nie mówię o dyletantach, ale o autorach niezależnych, żyjących szeroko i patrzących na szeroki świat. Ci wszyscy panowie, patrząc ciągle w podwórza swoich domów, nie mają po prostu o czem pisać. A muszą pisać, bo to ich zawód, ich chleb i pozycya towarzyska. Więc obrabiają zużyte i łatwe tematy, piszą szaro, nie sprawiają żadnej prawie niespodzianki czytelnikowi. A i czytelnik przez to samo, lub też z innych powodów, tak się wyrobił, że nie lubi oryginalności stylu ani pomysłu, boi się nowatorstwa, woli czytać do poduszki, niż rozbudzić się czytaniem. Jest więc błędne koło: lichy czytelnik wytwarza lichego autora i na odwrót.

— Wielką masz racyę — rzekł Delicki — trzebaby rozmnożyć czytelników, dla których warto pisać.

— Trudno także pisać po polsku, bo od stu lat mówimy w salonach po francusku. Polski język salonowy nie istnieje prawie. A tylko językiem klas wyższych, zabarwionym jeszcze jakąś indywidualnością stylową, można pisać powieść, albo *haute comédie.* A jak mi dadzą powieść, napisaną przez fejletonistę, czasem przez reportera, — i mam w niej wszystkie niezgrabstwa językowe i stylowe, wszystkie naiwności obserwacyi, wszystkie zardzewiałe sprężyny — dziękuję za to.

Podziwiałem często estetyczne poglądy pana Zygmunta. Chociaż literatura była dla niego tylko zabawką i wypoczynkiem, miał o niej nadzwyczaj wyrobione pojęcia. Nie wymieniał zwykle przykładów i nie dowodził poglądów swych na pojedynczych dziełach lub autorach; rzucał raczej szerokie światła. Trudnoby mi zatem było wytłómaczyć w tem wspomnieniu, co myślał Podfilipski o całym szeregu polskich powieści, które nie zdają mi się podpadać pod tę ocenę. Ale same teorye były wymowne, powabne przez swą objętość — i jakieś inne od wszystkich. Po wysłuchaniu, nie zawsze nabierałeś przekonania do samej teoryi, ale dużo admiracyi dla mówcy. Są takie teorye na świecie. Mówisz czasem na podstawie kalendarza humorystycznego, któregoś w całości nie przeczytał, a myślisz wogóle o cywilizacyi. I teorya nabiera odrazu niezaprzeczonej wyższości i powagi. Podfilipski celował w tej sztuce uogólnień i przy każdej okazyi, z którejby pospolity umysł nie skorzystał, on umiał szerzyć światło. Miał posłannictwo, nie zapominał o niem.

Pan Zygmunt, głosząc nam tego dnia smutne prawdy przy biesiadzie, pozostawał ateńczykiem; mówił poważnie i lekko zarazem, jakby te nauki nie kosztowały wysiłku myśli, jakby tylko były mądrym uśmiechem.

Mistrzowi chciał sprostać uczeń, Delicki. Ale mniej wytrawny, podniecony winem, nie uchwycił tonu Podfilipskiego; prawił dziwacznie i szyderczo:

— Pisarzu, pisarzu! o wiele się troszczysz, a jednego ci trzeba: kultury. Zaprawdę powiadam wam, że łatwiej jest wielbłądowi napisać powieść dla bliźnich swoich, niż jednemu z was wejść do królestwa helikońskiego. Tak mówi nie Chrystus, ani Zaratustra, jeno robaczek świętojański pragnie rozświecić trochę ciemności egipskie.

— Da przestań pan nakoniec! — odezwał się Kołczanowicz ponuro. Co tu mieszać Pismo święte do bredni?

Delicki skrzwił się nerwowo i zaczął:

— Bardzo pana proszę —

gdy powstał ów mowca, który miał jeszcze, według słusznych przewidywań Delickiego, mowę na sercu.

Był stary, łysy, twarz miał ascetyczną i pogodną. Tylko oczy żyły w tej postaci. Mówił znowu o zasługach jubilata, ale z innego tonu: winszował mu dwudziestopięciolecia nieposzlakowanej służby. Nie dawał mu za nią medalów, ani odznaczeń, bo za spełniony obowiązek ogólny nie nagradza się. Ale zwrócił uwagę na to, że obowiązek w naszych czasach nie jest tak wyraźnie wytknięty, ani łatwy zawsze do wykonania. Trzeba na to serca i sumienia. Te odnajdywał czyste i wzorowe w jubilacie. Zakończył w te słowa:

... „a że wszyscy kochamy to samo, kochajmy się!“

Głos staruszka był trochę drżący, ale sympatyczny i serdecznie nastrojony.

Wszyscy podnieśli szklanki, przesyłając znaki głową i ręką do mówcy, do jubilata i między sobą.

Delicki nie wstał, jak inni z miejsca. Mrużył oczy i przygotowywał inną przemowę.

Nerwowo ująwszy kieliszek z winem, zwrócił się, siedząc, do Podfilipskiego:

— Przerwijmy nareszcie ten różaniec drewnianych formułek. Wzywam tych, którzy się nie boją myśleć, aby podnieśli ze mną szklanki na cześć kultury. A że nie miejsce może w tem zebraniu, mówię do kilku zaledwie głów. W literaturze i w życiu jesteśmy senną gromadą dobrowolnych skazańców na pospolitość; grzebiemy w przebrzmiałych hasłach, w niedołężnej tradycyi, szukając jeszcze jakiej zapomnianej blaszki, jeszcze jakiejś umarłej perły w tym śmietniku. Precz z tym śmietnikiem, z tą ojcowizną głupstwa i upadku! Zamiast tradycyjnego braterstwa w ślepocie, wnoszę toast...

Tu przerwał, bo naprzeciwko niego, oddzielona tylko przez stół, powstawała postać groźna. Barczysty litwin wyrastał wolno z krzesła, opierając obie dłonie na stole, trząsł brodą, a straszne oczy wpijał w mówcę. Jak stary cap, wspinający się na pochyłość, rósł coraz wyżej; zdawało się, że wlezie na stół, który trząsł się od nacisku jego potężnych pięści. Aż pochylił czoło, niby do uderzenia rogami i, odrywając wymownie prawą łapę od stołu, zawołał:

— Milcz asan! a to jak zacznę kuć w mor...

Zdumieliśmy się.

Delicki ścisnął nóż leżący na stole, i pobladł.

Wtem ktoś przyskoczył do Kołczanowicza:

— Panie Benedykcie! zmiłuj się, miejże wzgląd na uroczystość dnia i miejsca!

— A w imię Ojca i Syna i Ducha świętego! — przeżegnał się Kołczanowicz i, obróciwszy z miejsca, gwałtownym, ciężkim krokiem podążył ku wyjściu, wymachując rękami.

Zajścia tego nie zauważono powszechnie; gwar je zagłuszył. Tylko my, najbliżej siedzący, zapadliśmy w takie milczenie, z którego nie wiadomo, kędy uciec. Wybawił nas Podfilipski, rzucając nawpół poważnie, nawpół żartem zdanie:

— Oto jest dyskusya...

A zwróciwszy się do Delickiego, któremu twarz drgała nieodgadnionemi poruszeniami, wziął go za łokieć, mówiąc:

— Urządzimy to.

W kwadrans potem pan Zygmunt opuścił nas. Pierwej już wyniósł się Delicki, ale czekał na Podfilipskiego w przedpokoju.

Ja wmieszałem się do innych rozmów.

Ze »złotych myśli« Podfilipskiego[1]).

...Myślę, że cała mądrość życiowa zależy na liczeniu się z wadami i ułomnościami bliźnich. Poznać je — to nie studyum bezowocne, jak astronomia, to daje siłę i panowanie. Nigdy kombinacye, oparte na próżności, na zmysłowości, na chciwości ludzkiej, nikogo nie zawiodły. Weź pan chociażby za przykład przedsiębiorstwa, które się udają: wydawanie pochlebnych herbarzów, restauracye nocne, loterye. A sprobuj pan założyć z ofiar szkołę, szpital, albo wydawać poważne pismo. Świat jest z gruntu zły, trzeba go znać i, o ile kto może, opanować, wyzyskując tę złość, czyli mówiąc dokładniej, pospolitą bieżącą naturę ludzką...

...Chodziło o zareklamowanie, o przemówienie do kilku znajomych mi wpływowych osób. Ofiarowano mi 30.000 marek, które można było wziąć poprostu za nic i to w przeciągu tygodnia. Interes zresztą doskonały, oparty na rachunku, na firmach poważnych i t. d. No, a ten idyota Tomasz odpowiedział, że się nigdy kurtażem nie trudnił i trudnić nie będzie. Interes przepadł, użyto kogo innego. Gdym zobaczył tego dnia wieczorem Tomasza, wpadłem na niego: nie, to już nadto dziecinne, poprostu głupie! Zaczął mi coś przebąkiwać o swoim wstręcie do prędkich zysków, nie opartych na pracy osobistej. Napróżno tłómaczyłem mu, że im kto rozumniejszy, tem prędzej zyskuje, że te pieniądze, które on (za mnie!) odmówił, weźmie dzisiaj (może już wziął?) książe taki to, lub najczcigodniejsza matrona, że każdy procent od kapitału, każde wzięcie spadku albo posagu nie jest niczem innem, jak zabraniem na swoją korzyść pieniędzy, nie zarobionych przecie pracą rąk własnych, a zatem nie różni się od kurtażu...

...Gdybyśmy mogli pozbyć się wszystkich zwyczajów (narodowych) i nie mieć żadnych, bylibyśmy dopiero gotowi do przyjęcia cywilizacyi. Nasze zwyczaje — to niedbałość, brud, niesforność i tym podobne tradycye, które wątpię, abyś chciał uprawiać i rozwijać. Naśladować narody cywilizowane, to nie upokorzenie, to trudny i szczytny obowiązek. O cóż nam zresztą może chodzić? Nie jesteśmy narodem; powiem więcej: nie byliśmy nigdy narodem w znaczeniu nowożytnem, to jest takim, od któregoby jakieś wielkie ognisko cywilizacyjne rozszerzyło się po całym świecie, jak sztuka od Włoch, elegancya od Francyi, praktyczność od Anglii i t. d. Mamy naturalnie swoją przeszłość, — nie możemy jej nie mieć, — a w tej przeszłości niektóre pierwiastki cywilizacyjne, wspólne z innymi narodami. Te właśnie pierwiastki potęgować, zamiast marzyć o rzeczach niepodobnych i absolutnie w historyi zakończonych.

Niech każdy z nas (mówię naturalnie o warstwach wyższych) stanie się bogatszym, wytworniejszym, oświeceńszym, a gdyby to się dokonało, mamy przed sobą bardzo piękną rolę: tę, którą Grecy mieli w państwie Rzymskiem.

...Wprowadziłem do kraju obce kapitały — mawiał — działam tu, jak mogę: drwię, budzę, otwieram niejedne oczy na rzeczywiste zadania życia; pragnąłbym jeszcze zapisać się w pamięci społeczeństwa, które dziwnym wypadkiem mnie wydało — i wystąpić z taką stajnią, o jakiej się dotąd naszym hodowcom nie śniło.

...Nawet w pierwotnej filozofii — w biblii — praca jest nazwana przekleństwem życia. I każdy to wie, że praca jest nakręcaniem machiny życiowej, a zabawa — samą jej funkcyą i przeznaczeniem. Każdy tak czuje, tak działa, ale rzadko kto zda sobie jasno sprawę z własnego postępowania.

...Cnota, piękno, miłość, honor w znaczeniu tem, które pan podniósł, są to fikcye nie bezużyteczne, bo grają swoją rolę w historyi obłędu świata, ale nieistniejące. Jedna rzecz istnieje — to walka człowieka z człowiekiem, nietylko o byt, ale o rozkosz życia. Świat dzieli się na pożerających i pożeranych. Rozumie się, że każdy ciśnie się do pierwszej kategoryi i ludziom rozumnym udaje się to — stają się pożerającymi względem wielkiej liczby tych istot, których, jakby przez ironię, nazywamy „bliźnimi". Wszystkie teorye oparte na miłości, są mrzonkami, a mają kurs dlatego, że łagodzą pierwotną i wieczną walkę. Walka ta bowiem znacznie się przekształciła od przedpotopowych czasów. Nie polujemy na siebie otwarcie, bo nie jadamy się nawzajem, nie wyrywamy sobie leśnych owoców i zwierzyny, tylko pieniądze, wszechmocne pieniądze. Ustanowiliśmy też różne konwencye ku wzajemnej wygodzie, jak państwa, kościoły, kodeksy prawne i moralne. Ogłosiliśmy różne idee społeczne, humanitarne, religijne, honorowe. To dla tłumu, dla niewiedzących, czem jest życie; to dla osłonięcia walki, która stała się skomplikowaną, grzeczną, płynącą pod powierzchnią życia, jak krew pod skórą. Ale są tacy, którzy wiedzą, czem jest życie. I byli zawsze tacy. Gdyby nawet wymarli wszyscy, wybiją się z tłumu nowi, którzy własnym rozumem dojdą do treści życia. Są to jednostki, patrzące z uśmiechem dumy, ale i pogardy na stado, które pędzą i rżną. Dlatego zawsze społeczeństwa były i będą rządzone przez niewielką ilość ludzi silnych i rozumiejących. A rządzić to nie jest pełnić funkcyę prefekta departamentu lub prezesa sądu, lecz utrzymać się własną potęgą na stanowisku naczelnem, mieć w ręku wszystkie sposoby i środki użycia. (Dok. nast.)

[1]) Wybraliśmy te „myśli" pojedyńczych obrazków tego rodzaju jak przytoczona przez nas „Biesiada".

Korespondencya J. I. Kraszewskiego,

przez K. Bartoszewicza.

(C. d.).

42—53. **K. Bęklewska, Adolf Billich** (drukarz i pomocnik księgarski), **Ludwik Biernacki, Bielowski** (bez imienia), **Antoni Bielicki** z Adamówki, **A. Bielicka, Jan Bielicki** z Mohylowa podolskiego, **W. Bielicka, Biberstein** z gub. kijowskiej, **K. Biliński** z Nowosielicy, **Honoryna Bielińska, Jerzy Bieńkiewicz** z Hołodek, w powiecie lityńskim — listy obojętnej treści.

54. **August Bielowski.**

Szanowny Panie!

Z radością dowiedzieliśmy się tu, że w Żytomierzu macie już Panowie teatr polski, gromadzicie zdolnych artystów i repertoryum teatralne wzbogacacie. U nas tu, jak to Panu pewnie wiadomo, rozpierzchło się i to, co niegdyś na scenie lwowskiej jaśniało, z przyczyn wielu, a głównie między niemi zła wola kierowników i niedołęztwo przedsiębiorców. To mi daje powód zwrócić uwagę Pańską na artystę, który z wielką szkodą sceny ojczystej od lat już kilku prawie bezczynny, łatwo mógłby się dać nakłonić do wzrostu jej i uświetnienia w Żytomierzu. Jest nim Jan Nowakowski, bawiący teraz w Brzeżanach, przy dzieciach swoich. Nie widziałem się z nim od dość dawnego czasu; zdaje mi się jednak, że gdyby otrzymał wezwanie od panów i propozycye czy to do ról gościnnych, czy też na stalszy u was pobyt, zapewne nie omieszkałby tamże pospieszyć, a byłby w takowem wezwaniu poniekąd i dowód, że zasługa prawdziwa, częstokroć tak u nas lekceważona i tyrana, ma przecież w lepszej cząstce narodu swoje uznanie [1]).

Proszę przyjąć wyrazy rzetelnego poważania, z którem zostaje WWMM. Pana Sługa

Aug. Bielowski.

Lwów dnia 1 czerwca 1857 r.

Lwów d. 25 czerwca 1861.

Wielce szanowny ziomku!

Piękną powzięliście Panowie myśl przyjść w pomoc poczciwemu i zasłużonemu Kaziowi Wójcickiemu. Radbym dorzucić grosz wdowi do tej skarbony, zwłaszcza wezwany do tego przez Pana Gregorowicza. Co więc w pośpiechu przesłać mogę, posyłam; racz szanowny ziomku doręczyć mój artykulik, gdzie należy. Co po mnie żądano, łatwo mi uskutecznić; co od drugich przezemnie, nie łatwo. Pan Gregorowicz dalekoby lepiej był zrobił, gdyby godzinkę czasu na to odłożywszy, choćby po kilka słów tylko do każdego napisał. Hurtowne wezwania bywają nie skuteczne. Obawiam się żeby tu tak nie było. Szajnocha bawi w Starem Mieście (poczta ostatnia Smolnica). Wyjeżdżał ztąd mocno osłabiony.

Za parę przyjaznych słów o mojej książce w *Gazecie Polskiej*, wdzięczen jestem. Przykro mi tylko, że nakładnik tak wysoką cenę na nią położył, chociaż co do zachodów, z mej strony nietylko żadnego zgoła honoraryum za robotę mą nie wziąłem, ale wydatki wszelkie odpisywań i przesyłek, które były dość znaczne, sam pokryłem. Lecz, jak mi powiada księgarz, tutejszy brak odbytu na książki zmusza do wysokich cen.

Przepisywacz Chasdaja nie spisał mi się, niewyraźne pismo, ilem mógł poprawił; nie wiem jednak, czy go składacze drukarni warszawskich wysyllabizują. W tej mierze zanoszę prośbę do p. korektora aby pracy nie szczędził; sądzę bowiem, że i ta drobna wartość, jaką mógłby mieć ten artykulik, zniknie w błędnem wydrukowaniu [1]).

Łaskawej pamięci polecam się

Bielowski.

Wielce Szanowny ziomku!

Wyczytałem dnia wczorajszego w *Gazecie Polskiej* bardzo ciekawą wiadomość o „Psałterzu Dawida“ w języku słowiańskim. To mi daje powód udać się do two-

---

[1]) Mowa tu o Janie Nepomucenie Nowakowskim, ur. 1797, † 1865 r., głośnym aktorze, o którym jest tradycya, że ostatni umiał nosić kontusz na scenie. Protekcya Bielowskiego o tyle była zbyteczna, że wkrótce po liście przytoczonym, Nowakowski na współkę z Witalisem Smochowskim objął dyrekcyę teatru lwowskiego.

[1]) Kiedy Wielopolski usunął Wójcickiego z posady archiwisty senatu i zarządcy drukarni Komisyi Sprawiedliwości, postanowiono przyjść mu w pomoc przez wydanie na jego dochód książki, złożonej z prac różnych autorów. Wyszła ona w r. 1862 p. t.: „Książka zbiorowa, ofiarowana Kazimierzowi Wł. Wójcickiemu.“ Wybitniejsi literaci prace swoje ofiarowali bezpłatnie, drukarze warszawscy równie bezpłatnie rozebrali druk między siebie. Była to demonstracya przeciw Wielopolskiemu, lubo dziś już wiemy, że Wielopolski w tym wypadku miał słuszność. Ponieważ jednak zamilczał o przyczynach, przeto wprowadził w błąd wielu, którzy upatrując w tym fakcie nową niesprawiedliwość i samowolę margrabiego, Wójcickiemu pomoc podali. Sulima („Historya 2 lat“ III. 27) myli się, mówiąc, że przyczyna dymisyi Wójcickiego była powszechnie wiadoma. Wyszedł on na niej najlepiej, postarano się bowiem o wybór jego na prezesa listów zastawnych w Towarzystwie Kredytowem, co mu dawało mało zajęcia, a dwa razy blizko większą pensyę niż ta, jaką przedtem pobierał. Ponieważ taki prezes powinien był mieć znaczniejszą sumę w papierach Towarzystwa, przeto kto żył ofiarowywał się ze złożeniem za niego kaucyi, tak, że złożono... 9 milionów rubli. Przy wyborach otrzymał Wójcicki 1.950 głosów na 2.000 głosujących. Tak kochano... Wielopolskiego.—Bielowski dał do „Książki zbiorowej“ artykuł p. t. „Chasdaj Ibn-Szaprut.“ Ów Chasdaj, żyd-lekarz za panowania Arabów w Hiszpanii, był ministrem kalifa Abd-al-Rahmana III, a w korespodencyi jego z królem Chazarów Józefem, znajdują się wiadomości, rzucające niejakie światło na kraj nasz i stosunki w wieku X.

jej łaski, prosząc, iżbyś raczył przez wpływy swoje wyjednać, aby dla mnie faksimile na kalce, jednej stronnicy lub dwóch zrobiono tuszem i w liście przysłano. Chodzi mi nie o ilustracye lecz o pismo, o tekst, dlatego przynajmniej stronnicy jednej faksimile mieć pragnę. W *Gazecie* czytam, jakoby napis słowiański opiewał roku 1095... Zapewne będzie to nieoryginalne wyrażenie i liczba, zredukowana już na naszą rachubę, bo liczenie lat od Narodzenia Pańskiego bardzo późno weszło w zwyczaj na Rusi. Bliższy także opis kodeksu byłby pożądany bardzo, ale tem nie chciałbym Cię wielce szanowny ziomku zatrudniać, bylebyś mi żądanej podobizny wyjednać nie odmówił. Koszt wszelki za to zwrócę natychmiast z wdzięcznością, nawzajem służby moje powolne zalecając [1]).

Zostaję z prawdziwym szacunkiem

August Bielowski.

Dnia 28 czerwca 1861.

Przegląd Przeglądów.

O nowym przekładzie Pana Tadeusza tak pisze z Paryża pan W. Bugiel do *Prawdy* warszawskiej:

„*Bulletin polonais*, ogłosił w styczniowym n-rze przekład I. księgi „Pana Tadeusza“. Istniały dotąd dwa tłomaczenia: Ostrowskiego i de Noir Isle'a (hr. Przezdzieckiego), oba bardzo mierne. Dopiero trzecie teraz rozpoczęte zasługuje w zupełności na swą nazwę. Dokonał go Wacław Gasztowtt, a co miesiąc będzie ukazywać się nowa księga w dalszych zeszytach *Biuletynu*.

Chociaż idzie dotąd o jedną tylko pieśń, sądzę że nie od rzeczy będzie poświęcić jej kilka uwag, zwłaszcza, że mogłyby wpłynąć na zwiększenie gładkości i udatności przekładu dalszych.

Sam Wacław Gasztowtt jest wybitną osobistością w tutejszej kolonii polskiej. Syn emigranta, urodzony we Francyi, skończył tu filozofię i od dłuższego czasu jest profesorem języków klasycznych w jednem z kolegiów paryskich. Ani praca zawodowa, ani spełnianie obowiązków urzędnika francuskiego nie przytłumiły w nim uczuć polskich. Duża ilość dzieci emigranckich zatraciła — ze smutkiem trzeba to zaznaczyć — znajomość języka ojczystego; Wacław Gasztowtt posiadł go własną pracą nietylko w zakresie potocznym, ale przyswoił sobie w wysokim stopniu język literacki, oraz rozległą znajomość piśmiennictwa polskiego.

Budzące się wcześnie skłonności literackie zużytkował on w kierunku bardzo zaszczytnym. Już przed więcej niż dwudziestu laty zaczął tłómaczyć na język francuski utwory Juliusza Słowackiego. Nakładem księgarni Luksemburskiej Władysława Mickiewicza wydany został najpierw jego przekład tych utworów prozą. W literaturze francuskiej panuje do dziś dziwny zwyczaj tłomaczenia poezyj w ten sposób — „owijanie promyków księżycowych słomą“ — mawiał ongi Henryk Heine.

Gasztowtt spostrzegł dość szybko, że próby wierszowane byłyby o wiele wdzięczniejszemi i poczytniejszemi. Jakoż w r. 1881 ogłosił tłomaczenie wierszem „Grobu Agamemnona“, „W Szwajcaryi“ i „Ojca zadżumionych“. Wobec olbrzymich trudności tem cenniejszemi okażą się liczne miejsca, oddające bardzo udatnie pierwowzór.

Juliusz Słowacki ma w nim wielkiego czciciela. Ażeby i wśród swoich towarzyszów i rodaków, urodzonych na obczyźnie, wzbudzić hołd dla genialnego twórcy, wygłosił Wacław Gasztowtt w trzydziestą rocznicę jego zgonu obszerny odczyt. Zręcznie i z uczuciem nakreślone tu są dzieje żywota i działalności poety, niemasz w nich patosu, ani przesady, lecz za to prawdziwy szacunek i zrozumienie.

Praca ta wyszła razem z przytoczonymi przekładami.

W ostatnich latach dał on jeszcze tłomaczenia „Balladyny“ i „Lilli Wenedy“, szkoda jednak, że prozą. Szczególnie „Lillę Wenedę“ można było oddać bez trudności. Gasztowtt włada wierszem bardzo udatnie, tem łatwiej więc mógł pokonać biały. Nie znam wszystkich jego przekładów pomniejszych poezyj Słowackiego; czytałem jednak „Testament“ i sonety do Warszawy — wcale piękne.

Tłomaczenia owe mają wartość nietylko literacką, ale i obywatelską. Wśród czytelników francuskich duży ich zastęp stanowią dzieci emigrantów, którym ojcowie zapomnieli wszczepić dobrą znajomość mowy rodzinnej. Przed dwoma laty staraniem Gasztowtta i jego przyjaciół dano przedstawienie „Balladyny“ po francusku w „Teatrze Poetów“. Krytyka francuska, niemająca wogóle najmniejszego zmysłu dla dramatów wielkich lub głębszych, nie okazała się i tu inną, ale przeważna większość publiczności była „francusko-polską“ i stąd zapoznanie się jej ze znakomitym utworem teatru polskiego jest dostatecznym tryumfem wieczoru.

Nietylko część utworów Słowackiego została obleczoną przez Gasztowtta w szatę francuską. Tłomaczył on jeszcze „Konrada Wallenroda“ i „Treny“ — ostatnie szczęśliwiej. Jako jeden z głównych kierowników *Bulletin polonais*, umieścił tam wiele rozpraw literackich i spra-

[1]) W nrze 155 *Gazety Polskiej* z r. 1861 była pomieszczona wiadomość o znalezieniu przekładu „Psałterza Dawidowego“ w języku słowiańskim. Rękopis na pergaminie miał być ozdobiony złotemi inicyałami i miniaturami na marginesach. Przekład ten był w r. 1518 własnością Abrahama Józefowicza Hlebickiego, podskarbiego litewskiego. Napis objaśniał, że „Kniha sija Dawida cara“ była spisana w Kijowie „lieta 1095, rukoju hresznawo raba Spiridiona, protodiakona“ z rozkazu „smirennaho Wladyki Michała.“ Mowa tu o Michale Greczynie, biskupie kijowskim, który zmarł znacznie wcześniej, co nie przeszkadza, że Spiridion mógł za jego życia przekład rozpocząć.

wozdań. Pisuje też po polsku, jeden z pierwszych zapoznał piśmiennictwo nasze z utworami przyjaciela swego, poety czeskiego, Vrchlickiego. W zeszłym roku, wierny zasadzie znajomienia Francuzów z literaturą polską, wygłosił w dużej sali Towarzystwa geograficznego w Paryżu wobec licznej publiczności odczyt o Henryku Sienkiewiczu.

Ma on więc swoje wielkie zasługi.

We wstępie do przekładu pierwszej pieśni „Pana Tadeusza“ tłomacz nakreśliwszy pokrótce przebieg liryzmu poety, zaczynającego od opiewania miłości ku „Laurze litewskiej“, a wznoszącego się coraz wyżej, zaznaczywszy rolę Adama Mickiewicza, jako „odnowiciela dramatu fantastycznego“, scharakteryzowawszy „Grażynę“ i „Wallenroda“, gdzie „spokój epopei przerywają wybuchy niecierpliwości romantycznej, poloty liryczne i byronowskie“, tłomacz przechodzi do korony dzieł: „Pana Tadeusza“.

„Tu Mickiewicz przybiera ton Homera; odnajduje naturalność i prostotę pierwotną czasów bohaterskich: jego wiersz, starożytny i współczesny zarazem, dotykający prozy a uszlachetniony magicznym rytmem i rymem, nie ma równego sobie w piśmiennictwach współczesnych. Ani utwory opisowe Vossa, ani „Herman i Dorotea“, Goethego, ani „Jocelyn“ Lamartine'a, ani nawet „Perneta“ Laprade'a, mniej znana, a dla nas tem ciekawsza, że czuć w niej miejscami wpływ naszego poematu narodowego — Laprade znał go przez Gaszyńskiego — nie zawierają tyle, co „Pan Tadeusz“ Mickiewicza naturalności, prawdy — niemających nic wspólnego z naturalizmem współczesnym“.

Wiersz „Pana Tadeusza“ Gasztowtt oddaje aleksandrynem. Myśl szczęśliwa, chociaż zmniejszenie ilości zgłosek o jedną utrudniło zadanie tłomacza.

Mimo to możemy pewiedzieć, że przekład jest wogóle dobry, miejscami wyśmienity. Szczególnie gdzie rzecz roztacza się z powagą, majestatycznie, Gasztowtt chwyta nastrój, odźwierciedla go niemal.

Doskonale są przetłomaczone ustępy, zawierające opis pobytu Tadeusza w pokoju, romans z Telimeną, stan Litwy — z wyjątkiem nie dość silnie oddanego miejsca o Napoleonie; dobrze cały obiad, czyli dwie trzecie księgi; przechadzka Tadeusza i Wojskiego, opowieść o Robaku.

Ale chcę podnieść i usterki. Opisy przyrody w tym poemacie są perłami w przecudnym naszyjniku literatury polskiej; otóż ten, którym tak świetnieje pierwsza księga: zachód słońca, oddany jest słabo. Prawie nic nie zostało z przepychu tych kilkunastu wierszy. Las, zlewający się w ogromny gmach z pożarem na dachu, przedstawiony tu tak:

Las zdaje się świątynią niezmierną i mroczną,
Której wierzch płonący rzuca daleko swe blaski.

Dalej zaś:

Słońce zniża się, piecze: czasem coś się zjawia
Jak języczek ognia wychodzący z okna,
Potem wszystko gaśnie. Wtedy sierpy — i t. d.

Bez porównania lepiej oddanym jest krajobraz, poprzedzający przyjazd Tadeusza.

Wiem bardzo dobrze, z jakiemi trudnościami musi walczyć poeta-tłomacz, więc nie kładę nacisku na dosłowność, chociaż ona wogóle jest zawsze wielce pożądaną, a bywa czasem konieczną, w miejscach charakterystycznych. Jak wojownik nie powinien posuwać się w kraju nieprzyjacielskim, nie zabrawszy spotkanych twierdz, bo mu z nich załoga może wpaść na tyły, tak tłomacz winien te miejsca posiąść, bo inaczej będą mącić całość i psuć wrażenie.

Otóż tak ma się rzecz i z wierszami „Pana Tadeusza“, gdzie błyszczy humor. Należy je zachować w przekładzie, choćby nad dwama, trzema słowami dużo głowy potrzeba było nałamać. Gasztowtt doskonale oddał opowieść Hreczechy, a nic nie szkodzi, że dla zachowania odcieni i rymu ze słowem „Lach“ nazwisko „Hreczecha“ przemienił na „Hreczach“. Natomiast pyszne miejsce, w którym domysły Tadeusza porównywa poeta z żabkami skaczącemi po łące, a potem ten dowcip przystraja poezyą, włączając lilię — zatarte. Przekład mówi:

Nie, młodzieniec miejsce to napełnia.
Rój myśli jego na niem buja, skacze
Jak na łące skacze *owad* po burzy.

Jaki owad? Czemu nie żabka?

Podobnież czyni ujmę całości miejsce o charakterze gotyckim zamku. Poeta wyraźnie oświadcza, że sędzia oponował przeciw nadawaniu mu pomienionego charakteru. Przebija się stąd lekki jak złoto słońca uśmiech z powodu naiwności ziemiańskiej. Według tłomaczenia Gasztowtta mógłby ktoś myśleć, że Mickiewicz wymagał, aby gmachy gotyckie wznosili Gotowie, gdyż czytamy tu:

Był on podług hrabiego struktury gotyckiej
Jakkolwiek wzniósł go murarz
Z Wilna, który od Gotów nie brał nigdy lekcyi.

Czemu znikł sędzia?

Pragnąć by należało także częstszego zachowywania zdań głównych, które nieraz tłomacz zamienia na podrzędne. Odbiera to dziełu właśnie prostotę, zaznaczoną przez niego samego. „Ja piękność twą w całej ozdobie widzę“, w przekładzie ma na początku „to też“.

Słowa „wtem, właśnie“, są w utworze bardzo ważne. Podobne one do owych kamieni milowych, które nową przestrzeń zaczynają. Tymczasem nie zawsze są zachowane, a brak ów wielce razi naprzykład w świetnie przetłomaczonym pobycie Tadeusza w pokoju. Wbiega Zosia:

Wtem spostrzegła młodzieńca...

Przekład mówi:

Widzi wtedy obcego.

Jako tako można było osiągnąć podobny skutek, rozdzielając tu ustęp na dwa.

Dotychczasowy charakter niniejszego artykułu broni mię chyba od zarzutu zbytniej surowości. Chciałbym jedynie, aby przekład w wielu miejscach nienaganny, posiadł większą jeszcze wartość i aby nowa suknia arcydzieła poezyi polskiej była bez plamek, co mówię, nawet bez prószyn.

RECENZYE i SPRAWOZDANIA.

Mieczysław Pawlikowski. *Baczmaha.* Szkic powieściowy. Warszawa. Gebethner i Wolff, 1898.

Żywo, barwnie, obudzając niemałe zaciekawienie w czytelniku, kreśli autor swą wycieczkę do tatrzańskich jaskiń podjętą w celu wyszukiwania kości przedpotopowych zwierząt i ludzi. Towarzyszem jego w tej niebezpiecznej, karkołomnej wyprawie jest młody bardzo człowiek p. Antoni, a w kreśleniu jego postaci szczególny nacisk kładzie autor na niezwykłą bujność jego młodości, na żywy, zapalny i uczuciowy jego temperament. Pewna hulaszcza, do ekstrawagancyi dochodząca wesołość, jest głównem znamieniem tej postaci—a jeśli szczególnie z tej strony każe nam autor na niego patrzeć, czyni to niezawodnie dla wywołania tem silniejszego kontrastu z późniejszym jego tragicznym losem.

Zamiast jednak poszukiwanych przedpotopowych szczątków, turyści nasi znajdują zupełnie co innego. Z jednej z zapadłych jaskiń, wynosi mianowicie z wielkim tryumfem pan Antoni stary jakiś dokument, indygenat, na którego odwrotnej stronie znajduje się spisana męczeńska historya szlachcica Baczmahy. Baczmaha ów, należąc do konfederacyi Barskiej, zmuszony salwować się ucieczką przed wrogami, wpadł nieszczęśliwym wypadkiem w jednę z jaskiń tatrzańskich i tam ugrząznął w glinie, z której nie mógł się wydobyć i w której zapadał się coraz głębiej. Przy blasku gromnicy, którą znalazł w swej tajstrze borsuczej, własną krwią spisał on okropne męczarnie swej powolnej śmierci na rodowym pergaminie, równie tamże znalezionym.

Mamy tu więc do czynienia z alegoryą, i to, o ile nam się wydaje, z alegoryą podwójną. Historya Baczmahy albowiem, zdaje się według intencyi autora, być odzwierciedleniem dziejów całego ogółu, a następnie mamy także prawo mniemać, że jest ona niby wróżbą losu, jaki miał spotkać niedługo młodego bohatera tej powieści, Antoniego. Autor w półcieniu pozostawia tę sprawę, może dla większego artystycznego efektu, z całego toku opowiadania możemy się jednak domyślać, że Antoni nietylko wynalazł ten zagadkowy rękopis, ale że on sam w istocie był jego autorem, że go napisał w przeczuciu i przewidywaniu swojej własnej przyszłości. Ten tryskający życiem i wielkich zdolności młodzieniec, miał bowiem w sercu robaka, który podgryzał korzeń jego życia. Kochał się w pięknej pannie i był od niej kochany, ale był zanadto rozumny, aby nie widzieć, że konwenanse światowe stargają te węzły serdeczne, a zanadto dumny, aby przeciw nim walczyć. I nagle stał się niespodziewany wypadek. Antoni, wracając sam z owej wycieczki, ukończonej znalezieniem historyi Baczmahy, spadł w przepaść z jakichś piargów, potrzaskał sobie do niepoznania całą głowę i otrząsł mózg, wskutek czego popadł w zupełną nieprzytomność i martwotę umysłową. Odtąd miał konać powoli jak Baczmaha grzęznący coraz głębiej w ziemię w niedostępnej dla ludzi jaskini — i konał tak przez długie lata.

A z jego ukochaną Józią co się stało? Poszła za mąż za pogardzonego przez nią wprzódy rywala pana Antoniego, wprawdzie poszła dlatego, że ten rywal, pan Adolf, okazał dla Antoniego dużo serca w jego nieszczęściu, ale poszła i byłaby pewnie w tym związku i szczęście znalazła, gdyby nie to, że lekkomyślny pan Adolf zmarnotrawił wkrótce majątek, zgrał się w Monte-Carlo i nie mając już nic lepszego do zrobienia, w łeb sobie palnął.

Posępny smutek wieje zatem z tego „szkicu powieściowego.“ Pod pozornym filozoficznym spokojem, z jakim autor opowiada dzieje tych najgłówniejszych postaci Baczmahy, ukrywa się gorzka ironia, tworząca z nim koatrast szczęśliwie pomyślany, w którym jasność podnosi siłę cienia, a cień siłę światła. Pewien fatalistyczny pogląd na świat, zabarwia całą tę powieść. Zdaje się, że te nieszczęścia i cierpienia bez winy, mają nam powiedzieć: źle się na świecie dzieje, los człowieka na ziemi jest opłakany, życie jest najczęściej powolnem konaniem w dolegliwościach—ale trudno, jakkolwiek jest, wszystko należy przyjąć spokojnie, z bierną obojętnością, niczemu się nie dziwić, bo tak jak jest być musi.

Ten chmurny i posępny horyzont, jaki tu nad głowami ludzi wisi, nawet w chwilach, gdy ich myśl od smutku i nieszczęścia daleka, nie po raz pierwszy zresztą w utworach tego autora się pojawia. Toż samo widzieliśmy w dawniejszych jego nowelach, w „Testamencie Napoleona“ a zwłaszcza w „Grudniowych Dniach.“ Przypominamy tę okoliczność dla skonstatowania faktu, że ten ton posępny obok nieukrywanej ironii należy do charaterystycznych cech autora. Tego sposobu malowania nie uważamy wcale za jakąś słabą stronę, owszem widzimy w nim dowód oryginalności, tak bardzo w każdym utworze fantazyi pożądanej. Autor zbyt jest myślącym człowiekiem, ażeby jak niejeden inny, przy pomocy pewnej zręczności zszeregowane ze sobą banalności, pokrywał różową gazą taniego sentymentu, i w tem wszystkiem kazał nam widzieć to, co dziejami

życia ludzkiego nazywamy. Dlatego powieść jego, napisana z wielkim darem obserwacyi, odznaczająca się pełnym charakterystyki, a gdzie trzeba i dowcipnym dyalogiem, nie znęci może czytelnika łaknącego jaskrawych a łatwych efektów, ale poruszy żywo niejedno serce i niejeden umysł do głębszej zadumy pobudzi.

Wyborne rysunki p. Tetmajera ilustrują doskonale ważniejsze epizody powieści i z istotnem złudzeniem przenoszą nas między Tatrzańskie góry i lasy.

Adam Bełcikowski.

Kazimierz Rojan. *Szczęście.* Powieść. Lwów. Gubrynowicz i Schmidt. 1898.

Andrzej Radowiecki, człowiek czynny i energiczny, zdolny uczony i finansista, założyciel towarzystwa rolniczo-przemysłowego i dyrektor takiegoż banku, poślubił Helenę Szczytowską mimo tego, że na godzinę przed ślubem ostrzegł go przyjaciel, jakoby Helena w klasztorze Sercanek romansowała z Marnickim, znanym zdobywcą serc niewieścich. Życie płynie małżeństwu spokojnie, ale Andrzej wciąż żuje i gryzie podejrzenie, wszczepione przez druha: prawdali, że była kochanką Marnickiego?

Dopóki żoną zajęty, dopóty wszystko układa się dobrze. Ale oto musi na miesiące całe oderwać się od niej: pisze dzieło i pracuje w banku. Wtedy Helena dostaje się pod skrzydła płochej Helmanowej — i ta ją kojarzy z Marnickim. Helena mu się wprawdzie nie poddaje, ale wobec podejrzeń Andrzeja, samo już zbliżenie to sprawiło, że atmosfera małżeńskiego pożycia stała się bardzo duszną. Należało już dawno w tę atmosferę fałszu, obłudy i konwenansu puścić pełny, obfity strumień prawdy. Istotnie wybucha burza małżeńska, Andrzej rzuca żonie wbrew oskarżenie, a Helena wyjaśnia, że nie ona miała w klasztorze romans, lecz jej przyjaciółka — także Helena, ona zaś poświęciła się, przyjąwszy winę koleżanki na siebie. Wyznanie to się sprawdza, Andrzej zaś wywozi swą żonę do Włoch, gdzie ona się uczy, rozwija, uszlachetnia, w końcu zostaje matką.

Taka jest nić główna węzła powieściowego; ale oczywiście, aby wiedzieć czy powieść dobra, trzeba spytać, jaki jest jej cel, jak autor maluje ludzi, sytuacye, przyrodę, jak obserwuje przedmioty i czy za pomocą słowa umie nas zrobić współczynnikami wymarzonego przez siebie świata i życia?

Otóż w powieści po jednej stronie stoi Andrzej, po drugiej tłum. Andrzeja charakteryzuje powieściopisarz *con amore.*

Po cierniach wdarł się na górne szczeble drabiny społecznej, nieraz spychany i deptany, a mimo tego nie zatracił ani nadziei szczęścia, ani wiary w szlachetność ludzką, ani miłości kraju. Czy w kółku kawalerskiem, kiedy żegna szampanem miłych towarzyszy, czy przy ognisku domowem, kiedy pobłażliwie chwali niefortunne popisy młodej gospochy, czy w biurze, kiedy zaleca pióra „krajowego wyrobu,“ czy w górach w chwilach wytchnienia i swobody, czy wreszcie w gronie obywateli, kiedy piorunującą dwugodzinną mową porywa umysły i serca — zawsze — ten sam rozumny, dzielny, energiczny, w każdem zdarzeniu, choćby najnaglejszem, mający gotową decyzyę, — słowem, organizacya bardzo tęga i dodatnia.

Ale za to naokół jacyż to marni ludzie i jakie marne stosunki! Niewodowski — ruina literacka, Barylak — zmanierowany malarz, Osiecki, urzędnik pocztowy — jak struna wiecznie na kwintę napięta, Tarczyński, synekurzysta, Dol, kret podziemny, ryjący pod Andrzejem, cyniczny Braun i młokosowaty Wiktor, — i najgorszy z nich Marnicki, — wszystko to zgraja trutniów, szkicowanych tylko gwoli uwypuklenia bohatera. Jeszcze gorszy świat niewieści. Tu są pojęcia uczciwości w zaniku. Kiedy Wiktor skradł z kasy kilkaset złr. i pojechał grać na Rivierę, ani matka, ani siostra nie mogły pojąć, co w tem może być zdrożnego? Marnickiemu wystarcza napisać parę słów do którejkolwiek kobiety z towarzystwa, a wnet się stawi na schadzkę. To też defilada o wyznaczonej godzinie przed jego mieszkaniem jest sceną potworną. Mniejsza o to, że scena ta i dyalog między Marnickim i Tarczyńskim, bardzo przypomina scenę między Szarmanckim a Walerym z „Powrotu posła“ Niemcewicza; ważniejsza, że rzuca ona fatalne światło na obyczajowe stosunki lwowskie, o ile naturalnie choć w przybliżeniu obserwowana jest z życia. Jakże nikczemne są rady Helmanowej! Jakże małą wartość w całem otoczeniu Heleny posiada niewinność i czystość uczuć i myśli! Sama Helena ma serce poczciwe, ale jest bezmyślna, ciekawa, rozmiłowana w strojach, słowem ma grunt, chwastami wad zarosły, choć niejałowy. I oto zbliżamy się do celu powieści. Szczęście ugnieść sobie trzeba z danej bryły gliny. Wobec naszych stosunków, wobec naszego wychowania i wykształcenia kobiety, mężczyzna musi sobie — jeżeli jest dzielny i rozumny — sam urobić szczęście. Taka jest — zdaje się — główna myśl powieści. Utwór to zresztą niemałego talentu.

Różnorodność sytuacyi naprzemian wesołych, dramatycznych, płaskich, poważnych, kilka świeżością tchnących obrazków przyrody, nader zręczny dyalog, staranna analiza psychologiczna, jędrny, pełen męzkiej dziarskości ale i malowniczy styl, — wszystko to są znamiona talentu, które przykuwają uwagę czytelnika do kart dzieła i nie pozwalają jej słabnąć aż do końca.

Ant. Mazanowski.

Bibliografia czasopism polskich

za miesiąc marzec 1898.

I. Beletrystyka.

Bożydar. Z mazurskiej ziemi... echo. (Nad grobem Klemensa Ju-Junoszy). Kuryer warszawski nr. 84.
Daniłowski G. Mróz, poezya. Prawda nr. 9.
Jellenta C. Żądła. wiersz. Przegląd tygodniowy nr. 10.
Koszucki St. Sonety. Głos nr. 12.
Kowerska Z. Z życia Jasia, opowiadanie. Tygodnik ilustr. nr. 13 i dalsze.
Krzyżanowski A. W kolońskiej katedrze. Tygodnik mód i pow. nr. 11 i dalsze.
Lange A. Powroźnik, poezya (z Verhaerena). Życie nr. 13.
Leitgeber W. W cichą noc (wiersz). Praca nr. 11.
— Nie pytaj, obrazek. Gazeta ostrowska nr. 33 i 34.
— Straszna noc. Gazeta ostrowska nr. 26—29.
Leśmian B. W noc księżycową, poezya. Głos nr. 13.
— Jesienią, wiersz. Przegląd tygod. nr. 11.
Łada A. Pojednanie, wiersz. Życie nr. 10.
Łoś W. Intrygantka, powieść. Słowo polskie nr. 53 i dalsze.
Maskoff J. (pseud.) Tamten (wyjątek z dramatu). Życie nr. 11.
Mikiewiczowa M. Płomień (sonet). Życie nr. 12.
Nawrocki Wł. Arethuza (z angielskiego Shelleya). Atheneum, luty.
— Jesienna sonata. Biblioteka warsz., luty.
Ostrowski N. S. Nad morzem, wiersz. Głos nr. 10
Perzyński Wł. Przysięga. Sen. Warszawa. Uajali. Wyśnionej, poezye. Życie nr. 11, 12 i 13.
Przybyszewski St. Epipsychidion. Życie nr. 11 (z portretem).
Ramestan. Chłopskie dziecię, powieść. Dziennik dla wszystkich nr. 62 i dalsze.
Schlagel F. Wyżyny. Wodne trzciny. Glos Nr. 11.
Szymański A. Drogowskazy, sonety. Życie nr. 10.
Tetmajer K. Z cyklu „Gwiazdy". Życie nr. 12.
— Z cyklu „Gwiazdy", serya IV. Prawda nr. 10.
Wierzbicki J. Duch Boży, wiersz Życie nr. 13.
Wolski W. Mglisty wieczór (sonet). Życie nr. 12.
Zagórski Wł. E. Rostanda: „Cyrano de Bergerac" (urywek z przekładu). Tygodnik ilustr. nr. 13.
— Aniołowie i Czarci, niedrukowany wiersz Goethego. Tygodnik ilustr. nr. 11.
Zawistowska K. Wizye. Nuit Blanche (z Samaina). Życie nr. 11.
— Twoja dusza (sonet). Zycie nr. 12.
Żuławski J. 1848 i Królowa, wiersze. Życie nr. 13.
— Florentyńczyk. Racławice (sonety). Życie nr. 11.

II. Historya literatury, rozprawy literackie, życiorysy literatów i uczonych i przyczynki biograficzne.

Autograf wiersza Mickiewicza. Kuryer niedzielny nr. 13.
Ze sztambucha Salomei Słowackiej-Bécu — wiersz napisany 22 października 1824 r. na kilka godzin przed opuszczeniem Litwy przez poetę.
Celichowski W. Józef Supiński, a rozwój teoryi ekonomicznej. Przegląd prawa i administracyi, marzec.
Choiński T. J. Klemens Junosza Szaniawski. Kuryer warszawski nr. 86 i dalsze.
Deutlinger E. Piśmiennictwo ekonomiczne polskie. Przegląd tygodniowy nr. 10.
Jabłonowski Aleks Konstanty Górski. Atheneum, luty.
Jankowski Cz. M. Rodoć. Kraj nr. 8 (z portretem).
Julian Titius. Kuryer warszawski nr. 88.
Życiorys sławnego lekarza - filantropa wileńskiego, który odegrał dość wybitną rolę i w życiu literackim Wilna.
Korespondencya Juliana Bartoszewicza. Przegląd tyg. nr. 13 (echa).
Krzywoszewski St. W bibliotece polskiej w Paryżu. Kraj nr. 10.
Interwiew z p. K. Górskim dyrektorem polskiej stacyi naukowej.
L—n. Literatki. Niwa nr 11.
Laskowski K. Nad grobem dobrego człowieka. Niwa nr. 13.
O Klemensie Junoszy.
Legendy dziennikarskie. Przegląd tygodniowy nr. 12.
Autor dowodzi bardzo słusznie, że skutkiem towarzystw wzajemnej admiracyi oraz osobistych polemik dziennikarskich, „zamiast opinij rzeczywistych, w dziennikarstwie naszym panują legendy o ludziach, organach, pracach i dziełach".
Lorentowicz J. Władysław Reymont (sylwetka). Przegląd tyg. nr. 12.
Lutomski B. Włodzimierz Spasowicz. Życie nr. 10 i 11.
Meyet Z. Wizerunek Marylli. Kuryer niedzielny nr. 11.
Morawski St. Wspomnienie współcześnika o Maryi Szymanowskiej. Atheneum, luty.
Rozdział ze wspomnień Stanisława Morawskiego lekarza, wychowańca uniwersytetu wileńskiego. Morawski poznał słynną artystkę, matkę żony Mickiewicza, w Petersburgu. Twierdzi, że on to a nie kto inny, wyswatał jej córkę Celinę, za Mickiewicza.
— Sękewski. Atheneum, marzec. Ustęp z tychże samych pamiętników. Streszczenie jego damy w Przeglądzie Przeglądów.
Pietkiewicz Zen. Kto czyta? Prawda Nr. 10.
Autor dowodzi, że najmniej stosunkowo czyta szlachta.
Plautus. Klemens Junosza Szaniawski. Niwa nr. 10.
— Henryk Piątkowski. Niwa nr. 13.
Rabski Wł. Książka i dziennik. Tygodnik ilustr. nr. 12.
Rembowski A. Historyk wojskowości polskiej. (Konstanty Górski). Biblioteka warszawska, luty.
Rydel L. Kornel Ujejski. Biblioteka warszawska, luty.
Szczepański L. Ibsen w Galicyi. Życie nr. 12.
Strzelecki A. Szekspir i Bakon. Przegląd polski, marzec.
Drugi tytuł tego artykułu: „Wiele hałasu o nic" odrazu na rzecz Szekspira przesądza sprawę autorstwa jego dzieł, przypisywanych przez niektórych krytyków Bakonowi lub innym pisarzom. Pierwszy ciąg zawiera szkic dziejów powstania i rozwoju ruchu antiszekspirowskiego.
Tetmajer K. O młodą poezyę polską. Życie nr. 12.
Polemika z p. Remigiuszem Starowiejskim, który zarzucił młodym naszym poetom, że brak im swojskości i oryginalności.
Wasilewski Z Klemens Junosza Sieniawski. Głos nr. 13.
Zdanie proste czy zdanie pojedyncze. Głos nr. 11 i 12.
Polemika między A. Krasnowolskim a G. Korbutem — pierwszy jest za zdaniem „pojedynczem", drugi za „prostem".

III. Rozprawy treści naukowej, społecznej itp.

Abramowski E. Dwulicowy charakter postrzeżeń. Przegląd filozof Rok I. zeszyt 2.
Balicki Z. Psychologia sekt. Głos nr. 12.
Bassak Z. Studentka o studentkach Tygod. ilustr nr. 13 i dalsze.
Biegański Wł. Myślenie logiczne, a kojarzenie wyobrażeń. Przegląd filozoficzny. Rok I. zeszyt 2.
Brückner A. Z dziejów różnowierców polskich. Atheneum, luty.
Marcin Czechowicz. Dawna szkoła. Talmudyści. Przesądy, (dalszy ciąg pracy o Aryanach drukowanej w Atheneum 1896).
Czaykowski K. X. Symptomy zwrotu ku jedności na wschodzie. Przegląd powszechny, marzec.
Daszyńska Z. Z tajników duszy współczesnej. Życie nr. 13 i dalsze.
Fiat. St Realizm a narodowość w sztuce. Atheneum, marzec.

Gloger Z. Nasze rzeki. I. W dolinie Biebrzy. Kuryer niedzielny nr. 13 i dalsze.
Grosglik N. Życie i filozofia Hobbes'a. Atheneum, marzec
Hłasko St. Z wycieczki do Witebska (z ilustracyami i portretami). Kraj nr. 11.
Jasieńczyk. Jeszcze o Nowogródku. Kraj nr 11.
Kempner St. Syndykaty przemysłowe. Biblioteka warsz., luty.
Koszucki St. Nasi prawnicy a nauka. Gazeta sądowa, marzec.
Lorentowicz J. Geniusz w sztuce. Przegląd fil zoficzny r. I. z. 2.
Louis W. J. Dwie Polki zmarłe na obczyźnie. Przegląd pol., marzec. Autor chce przedstawić szczegóły życie dwóch „znakomitszych niewiast polskich Pierwsza z nich Elżbieta z Kępińskich księżna Sasko-Koburska była córką zniemczonej i protestanckiej gałęzi Kępińskich, a więc nie była Polką, a cała jej znakomitość na tem polega, że kiedy miała lat 43 pojął ją za małżonkę 39-letni Albrecht III. książe Sasko-Koburski (1688). Do życiorysu drugiej „znakomitszej" niewiasty Izabeli z Czartoryskich marszałkowej Lubomirskiej dodaje autor kilka szczegółów z ostatnich kilku lat jej życia› spędzonych w Wiedniu, gdzie zmarła w r. 1816.
Łuniński E. Do charakterystyki Witolda Pruszkowskiego Biblioteka warszawska, luty.
Manteufel G. Monstrancya gotycka z r. 1474 w skarbcu Ermitarzu petersburskiego. Przegląd powszechny, marzec.
Massonius M. Racyonalizm w teoryi poznania Kanta. Przegląd filozoficzny r. I. z. 2.
Nussbaum J Geneza snu. Biblioteka warszawska, luty.
Piotrowski St. Akcye przemysłowe i giełda. Atheneum, luty.
— Małe gospodarstwa rolne i ceny zboża. Atheneum, marzec.
Ponikło S. Schronisko fundacyi ks. Lubomirskiego w Krakowie. Tygodnik ilustr. nr. 13.
Potocki J. K. O terminologi psychologicznej. Przegląd filozoficzny. Rok I. zeszyt 2.
Rokosz A. X. Lud w podhajeckiem. Przegląd powszech, marzec.
Słonicki K. X. Rys historyczny i teoretyczny systemu choralnego śpiewu. Śpiew kościelny nr. 5.
Srokowski St. Czesi, szkic kulturalno obyczajowy. Przegląd polski, marzec i dalsze.
Syoniści i Ziemia święta. Gazeta kościelna nr. 11 i dalsze.
Trepka N. Anglia społeczna. Ateneum, luty.
Ursyn. Kontrakty kijowskie. Tygodnik ilustr. nr. 11 i dalsze.
Wawrzeniecki M. Zbiór rysunkowy pomników grobowych Maksymiliana Cerchy. Przegląd tygodniowy nr. 12.
X. Towarzysze Dostojewskiego w twierdzy Omskiej. Kraj nr. 10. Wyjątek ze spisu urzędowego więźniów politycznych osadzonych w r. 1850 w twierdzy Omskiej. Spis ten podał „Istoriczeskij Wiestnik" a „Kraj" z niego wyjmuje czterech Polaków.
Z dziejów Podlasia. Gazeta kościelna nr. 9 i dalsze.
Załeski St. X. Rokosz Zebrzydowskiego i Jezuici. Przegląd powszechny, marzec i dalsze.
Zanietowski J. Dzisiejsze stanowisko medycyny. Przegląd powszechny, marzec.
Ze świata harmonii. Monitor nr. 11 i dalsze.
Sylwetki muzyków lwowskich.

IV. Recenzye i sprawozdania.

Alkar. Książę Repnin. (J. T. Hodi, Atheneum, luty).
Bęczkowska G. W. Bez woli. (M. Rawicz w Przeglądzie Polskim, marzec).
Chmielowski P. Literatura dramatyczna. (L. R. w Atheneum).
Chołoniewski A. Nieśmiertelni. (W Prawdzie nr. 10).
Deotyma. Panienka z okienka. (Q. w Przeglądzie tygod. nr. 11).
Eminowicz W. Gołębie. (A. M. w Przeglądzie polskim, marzec).
Feldmann W. Ananke. (Wł. Jabłonowski w Głosie nr. 11).
Gliński H. Mamusie. (J. Flach w Przeglądzie polskim, marzec).
Heuman St. X. Parafia Zembrzycka. (W. Łuszczkiewicz w Przeglądzie polskim, marzec).
Gargas Z. Poglądy ekonomiczne w Polsce w XVII. (Z. Daszyńska w Życiu nr. 12 i A. Rembowski w Bibliotece warsz., luty).
Iwański J. Poezye (Ar Les w Atheneum, marzec).
Jasieńczyk M. W Wielgiem. (Q. w Przeglądzie tygodniowym nr. 11).
Jellenta C. Galerya dni ostatnich. (Prawdzian w Roli nr. 13 i Ateneum, luty).
Klemensiewicz J. Poezye (A. Drogoszewski w Bibl. war., luty).
Konopnicka M. Dym (Ar. Les w Atheneum, luty)
— Ludzie i rzeczy. (Cz. J. w Tygodniku ilustr. nr. 13)
Kotarbiński J. Niezdrowa miłość. (Cz. J. w Tyg. ilustr. nr. 12).
Krzywicki L. Rasy fizyczne. (Strzelbicki w Ateneum, luty).
Mańkowski M. Moja Helenka. (Cz Jankowski w Tygodniku ilustr. nr. 13 i L. R. w Ateneum, luty).
Marchlewski. Fizyokratyzm w dawnej Polsce, (E. Dutlinger w Przeglądzie tygodniowym nr. 10).
Matuszewski I Swoi i obcy. (Ateneum, marzec).
Morawski K. Antygona. (A. Strzelecki, Słowo Polskie nr. 53).
Mycielski J. Gaetano Chiaveri. (St. Fiat. w Atheneum, luty).
Niedziałkowski K X. Wrażenia z pielgrzymki do ziemi świętej. (T. J. Hodi w Ateneum, marzec i St. Srokowski w Przeglądzie polskim, marzec).
Nowele konkursowe Czasu (J. Flach w Przeglądzie pol., marzec)
Nussbaum J. Dziedziczność. (A. Mahrburg w Przeglądzie filozoficznym. Rok I. zeszyt 2).
Orzeszkowa E. Iskry. (C. w Przeglądzie polskim, marzec; Cz Jankowski w Tygodniku ilustr. nr. 11 i Siedlecki w Życiu nr. 12).
Pilecki St. Dzieje małżeńskie. (L. R. w Atheneum, luty i BB. w Niwie nr. 12).
Pini T. Kornel Ujejski (K. Wróblewski w Muzeum, marzec).
Potkański K. Kraków przed Piastami. (M. Gozdawa w Gazecie warszawskiej nr. 69).
Reymont W. Spotkanie. (L. R. w Ateneum, luty).
Sieroszewski W. W matni. (A. Drogoszewski w Bibliotece warszawskiej, luty).
Słownik geograficzny. (W. W. r. w Bibliotece warszawskiej, luty).
Smolarz- T. Humoreski. (M. Rawicz w Przeglądzie pol., marzec).
Smolka St. Polacy, Czesi i Niemcy. (R. B. de C. w Kraju nr. 8).
Struve H. Wstęp krytyczny do filozofii (autoreferat). (Przegląd filozoficzny. Rok I. zeszyt 2.
Studnicki W. Spółczesna Syberya. (Jan St. w Głosie nr. 12).
Twardowski K. Wyobrażenia i pojęcia (autoreferat). Przegląd filozoficzny. Rok I zeszyt 2.
— Psychologia wobec fizyologii. (A. Mahrburg w Przeglądzie filozoficznym. Rok I. zeszyt 2).
Weyssenhoff J. Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego. (Q. w Przeglądzie tygodniowym nr. 11. A. Świętochowski w Prawdzie nr. 11. Winc. Łoś w Kuryerze niedzielnym nr. 13. Plautus w Niwie nr. 12. K. w Gazecie warszawskiej nr. 62).
Zakrzewski W. Adolf Pawiński. (A. R. Biblioteka warszaw, luty).

Wiadomości literackie.

— Galicyjski Wydział krajowy ogłasza trzeci konkurs na utwory sceniczne przynajmniej 3-aktowe zapełniające cały wieczór teatralny. Pierwsza nagroda 500 złr., druga 250 złr. Utwory odznaczone przez komisyę oceniającą grane będą naprzód na scenach lwowskiej i krakowskiej, a potem dopiero taż komisya przyzna nagrody. Utwory konkursowe można nadsyłać do końca pazdziernika r. b.

— Pan *Stanisław Kijeński* zrzekł się naczelnej redakcyi „Kuryera niedzielnego". Kierownictwo tego pisma obejmie od maja pan *Maryan Gawalewicz.*

— W teatrze poznańskim wystawiono sztukę fantastyczną w 5 obrazach p. t „Dusza ludu". Autorem jej jest p. *Władysław Łebiński*, redaktor „Wielkopolanina".

— „Życie" zapowiada druk nowelli *Wiktora Gomulickiego* p. t. „Sołdat".

— Pan *Maryan Gawalewicz* napisał powieść p. t. „Blask pożyczany"

— We Włocławku wychodzić będzie miesięcznik „Homiletyka". Treść pisma stanowić będą: 1) Ojcoznawstwo: żywoty Ojców Kościoła, przekłady i rozbiór ich dzieł. 2) Zasady wymowy św. 3) Kazania niedzielne, świąteczne, mowy obrzędowe, przygodne, oraz szkice kazalne. 4) Katechetyka i katecheza. 5) Ascetyka. 6) Zwięzłe przeglądy literackie, biograficzne i bibliograficzne.

— „Gazeta Kaliska" przemienia się na pismo codzienne.

— *Edward Lubowski*, krytyk teatralny „Tygodnika ilustrowanego", przestał być współpracownikiem tegoż pisma, a wstąpił do Redakcyi „Kuryera codziennego".

— W Krakowie zaczął wychodzić dwutygodnik humorystyczny p. t. „Urwisz", którego współpracownikami są przeważnie współpracownicy „Życia".

Nekrologia.

Julian Titius głośny lekarz filantrop ur. 1818 † 20 marca w Wilnie. Był w przyjaznych stosunkach ze wszystkimi literatami litewskimi, jak Odyńcem, Syrokomlą, Balińskim, Malinowskim, Chodźką i t. d. Będąc przez pewien czas pomocnikiem dyrektora teatru wileńskiego, starał się o wystawianie przedewszystkiem utworów oryginalnych. Uważano go za żywą kronikę wileńską ostatniego 50-lecia Pisywał do „Kuryera wileńskiego", w którym umieścił „Gawędy samotnika". Uzupełnił nowe wydanie „Przewodnika po Wilnie" Kirkora. Dopomagał zbiorowym wydawnictwom wileńskim. Pozostawił pamiętniki. W pogrzebie jego wzięło udział całe Wilno.

Kwerendy.

Opracowując obecnie życie i prace Walentego Chłędowskiego, znanego pisarza i wydawcy „Haliczanina", upraszam uprzejmie wszystkich, którzyby mogli mi dostarczyć czyto niedrukowanych jeszcze utworów Chłędowskiego, czyto materyałów dotyczących jego życia, ażeby zechcieli łaskawie udzielić mi tych rzeczy do literackiego użytku. Po ukończeniu pracy zwrócę je natychmiast z podziękowaniem i w całości.

Dr. Bronisław Czarnik
Wicekustosz Zakładu nar. im. Ossolińskich.

Szczerze będę obowiązany mogącym mi udzielić kilka szczegółów lub dat z życia Gaspra Zelwietra, zmarłego na Litwie koło 1850 r.

K. Bartoszewicz.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca:
Kazimierz Bartoszewicz.

W drukarni A. Koziańskiego w Krakowie.